

ARTHUR KOESTLER

# **Ciemność w południe**

Przekład z niemieckiego Urszula Poprawska



# **Pierwsze przesłuchanie**



Drzwi celi zatrzasnęły się za Rubaszowem.

Stał jeszcze przez chwilę, opierając się o nie, i zapalił papierosa. Na pryczy po prawej stronie leżały trzy w miarę czyste derki i świeżo wypchany słomą siennik. W umywalce po lewej brakowało zatyczki, ale kran działał. Stojący obok kubel był świeżo zdezynfekowany i nie śmierdział. Ceglane ściany z obu stron nie wydawały przy stukaniu odgłosu, ale z zagipsowanych miejsc, z których wychodziły rura grzewcza i odprowadzająca, dobiegało ciche brzęczenie, a poza tym sama rura grzewcza też wydawała się przewodzić dźwięk. Okno zaczynało się na wysokości głowy, można więc było obserwować podwórze w dole bez podciągania się na kratkach. Wszystko było w porządku.

Rubaszow ziewnął, ściągnął płaszcz, zrolował i położył na słomianym sienniku jako podglówek. Spojrzał w dół na podwórze: w świetle księżyca i elektrycznych latarń połyskiwał śnieg. Naokoło, wzdłuż muru, odmieciono dla więźniów wąską spacerową ścieżkę. Zmierzch jeszcze nie zapadł, w mroźnym powietrzu mimo światła latarń jasno błyszczały gwiazdy. Na rampie naprzeciw celi Rubaszowa pełnił służbę żołnierz z bronią przewieszoną przez plecy, wykonując po sto kroków w każdą stronę; tupał przy tym – może ze względu na przepisy, a może z powodu zimna – jakby maszerował na paradzie. Od czasu do czasu na bagnecie jego karabinu odbijało się żółte światło latarń.

Stojąc jeszcze przy oknie, Rubaszow zdjął buty. Zdusił papierosa, położył niedopałek na posadzce koło pryczy, usiadł na sienniku i przez kilka minut siedział bez ruchu. Potem znowu podszedł do okna. Podwórze było ciche, żołnierz pełniący wartość właśnie zawracał, nad wieżą wartowni z bronią maszynową widać było fragment Mlecznej Drogi. Rubaszow wyciągnął się na pryczy i owinął derką. Była piąta rano; zimą przed siódmą przypuszczalnie nikt tu nie wstawał. Był bardzo śpiący i pomyślał jeszcze, że pierwsze przesłuchanie odbędzie się zapewne nie wcześniej niż za trzy, pięć dni. Zdjął binokle, położył obok niedopałka na posadzce, uśmiechnął

się i zamknął oczy. Derka dawała miłe ciepło, poczuł się bezpiecznie; po raz pierwszy od wielu miesięcy nie obawiał się snu.

Kiedy kilka minut później strażnik, wyłączwszy na korytarzu światło, zajrzał przez judasza do celi, były komisarz ludowy Rubaszow spał odwrócony plecami do ściany, z głową na wyciągniętej lewej ręce, która sztywno wystawała poza pryczę. Tylko luźno zwisająca dłoń drgała.

## – 2 –

Godzinę wcześniej, kiedy dwaj urzędnicy Komisariatu Spraw Wewnętrznych walili w drzwi mieszkania Rubaszowa, jemu śniło się właśnie, że jest aresztowany.

Łomotanie do drzwi stawało się coraz gwałtowniejsze i Rubaszow z trudem się przebudził. Wiedział już, jak odrywać się od sennych koszmarów, bo sen o pierwszym aresztowaniu nachodził go cyklicznie od lat z regularnością zegarka. Niekiedy udawało mu się siłą woli powstrzymać senny koszmar, wyrwać się o własnych siłach z takiego snu, lecz nie tym razem; wydarzenia ostatnich tygodni bardzo go wyczerpały, pocił się we śnie i rzeził, a koszmar trwał.

Teraz też słyszał we śnie dobijanie się do drzwi i widział trzech mężczyzn, którzy po niego przyszli. Bili pięściami we framugę. Mieli na sobie zupełnie nowe mundury – twarzowy strój pretorianów niemieckiego dyktatora, na czapkach i rękawach nosili symbol – krzyż zakończony agresywnymi hakami, w rękach niezdarnie trzymali duże pistolety, pasy pachniały świeżą skórą. Otaczali już jego łóżko; byli to dwaj rośli wiejscy młodzieńcy o wydatnych ustach i rybich oczach, trzeci był mały i grubawy. Trzymali w rękach pistolety, czuł na sobie ich oddechy, panowała zupełna cisza, tylko ten mały gruby astmatycznie dyszał. Potem ktoś piętro wyżej pociągnął za spluczkę i w rurach biegnących w ścianie rozległ się równomierny szum wody.

Zegar przestał tykać, odgłosy łomotania w drzwi nasiliły się; mężczyźni, którzy przyszli go aresztować, na zmianę walili w drzwi i chuchali w zgrabiałe dłonie. Rubaszow nie był jednak w stanie się obudzić, choć wiedział, że teraz nastąpi szczególnie męcząca scena: trzech mężczyzn nadal stoją przy jego łóżku, podczas gdy on próbuje wdziać szlafrok. Jeden rękaw wyrzucił na drugą stronę i nie potrafi w niego trafić, męczy się bez skutku, aż ogarnia go rodzaj paraliżu – nie może się ruszyć, choć wszystko zależy od

tego, jak szybko naloży ten szlafrok. Przerazający paraliż trwa kilka sekund, Rubaszow stęka, czuje na skroniach zimny pot, a walenie w drzwi wdziera się w jego sen jak daleki odgłos werbla. Jego dłoń drga pod poduszką w gorączkowym usiłowaniu, by trafić w rękaw szlafroka, i wtedy jak grzmot trafia go pierwsze, ogłuszające uderzenie rękojęścią pistoletu w ucho.

To znajome, pierwsze, przeżywane na nowo w pamięci setki razy uderzenie, od którego zaczęły się jego kłopoty ze słuchem, wyrwało go zwykle ze snu. Przez chwilę jeszcze drżał na całym ciele, a jego ręka, unieruchomiona pod poduszką, dygotała nadal w poszukiwaniu wejścia do rękawa szlafroka; zanim bowiem całkiem przyszedł do siebie, czekał go zwykle jeszcze ostatni, najgorszy etap. Było to niejasne poczucie, od którego robiło mu się słabo, że przebudzenie, które przynosi ulgę, to tylko sen, a w rzeczywistości nadal leży na wilgotnej kamiennej posadzce w celi bez światła, z kubłem przy nogach i zaoszczędzonymi resztkami chleba obok dzbanka na wodę tuż przy głowie.

Teraz też oszołomienie i niepewność, czy ręką szukającą po omacku trafi na kubeł, czy na wyłącznik nocnej lampki, utrzymywały się jeszcze przez chwilę. Zabłyśło światło, rozwiały się resztki snu. Kilka razy głęboko wciągnął powietrze, otarł kocem pot z czoła i łysiny z tyłu głowy i, złożwszy ręce na piersiach, napawał się jak ktoś, kto wraca do zdrowia, uszczęśliwiającym poczuciem wolności i bezpieczeństwa. Spod zmrużonych powiek, z nowo obudzoną ironią, zaczął przypatrywać się oleodrukowi przedstawiającemu Numer Jeden, przywódcę partii, który wisiał nad łóżkiem na ścianie w jego pokoju i na ścianach wszystkich pokoi obok, nad nim i pod nim, na wszystkich ścianach tego domu, tego miasta i całego tego bezmiernie rozdętego kraju, o który walczył i za który cierpiał, a który teraz przyjął go znowu na swe potężne, przepastne łono. Wreszcie Rubaszow zupełnie oprzytomniał, ale dobijanie się do drzwi nie ustępowało.

— 3 —

Dwaj mężczyźni, którzy po niego przyszli, stali na ciemnej klatce schodowej i naradzali się między sobą. Dozorca Wasilij, który przywiózł ich na górę, stał w otwartych drzwiach windy i nerwowo sapał. Był to chudy starszy mężczyzna, któremu rozerwany kołnierz żołnierskiego płaszcza, narzucony na nocną koszulę, odsłaniał na szyi czerwoną bliznę, nadającą mu skrofuliczny wygląd. Blizna była śladem po postrzale z czasów wojny domowej,

kiedy walczył w oddziale partyzanckim dowodzonym przez Rubaszowa. Rubaszowa odkomenderowano później za granicę i Wasilij tylko od czasu do czasu dowiadywał się z gazety, którą wieczorami czytywała mu córka, co się działo z jego dawnym dowódcą. Kazał sobie czytać jego przemówienia wygłaszane na kongresach; były one długie, trudno zrozumiałe i nigdy nie udało się rozszyfrować Wasilijowi tonu wypowiedzi byłego komendanta partyzantów, niskiego brodacza, który znał tak wspaniałe przekleństwa, że nawet Najświętsza Panienka z Kazania, słysząc je, musiałaby się uśmiechnąć. Wasilij zasypiał zwykle w środku tych przemówień, lecz zawsze się budził, kiedy pod koniec, gdy była mowa o wnioskach końcowych i oklaskach, córka patetycznie podnosiła głos. Po każdym ze wzniosłych haseł – Niech żyje Międzynarodówka Komunistyczna! Niech żyje światowa rewolucja! Niech żyje Numer Jeden! – Wasilij dodawał amen, żarliwie, ale cicho, tak żeby córka nie słyszała, potem ściągał marynarkę, żegnał się ukradkiem i z nieczystym sumieniem kładł się spać. Nad jego łóżkiem też wisiał oleodruk przedstawiający Numer Jeden, a obok niego fotografia Rubaszowa jako komendanta partyzantów. Gdyby teraz tę fotografię u niego znalazł, na pewno też zostałby aresztowany.

Na klatce schodowej było zimno, ponuro i bardzo cicho. Młodszy z przybyłych funkcjonariuszy podsunął myśl, żeby przestrzelić zamek w drzwiach. Wasilij opierał się o drzwi windy; w pośpiechu nie włożył porządnie butów, ręce drżały mu tak, że nie mógł zawiązać sznurówek. Starszy z funkcjonariuszy odrzucił jednak pomysł młodszego: aresztowanie należy przeprowadzić możliwie dyskretnie. Znowu zaczęli więc chuchać w skostniałe dłonie i dobijać się do drzwi; młodszy uderzał w nie ręką i ręką, a starszy ręką i ręką. Kilka pięter niżej jakaś kobieta zaczęła nagle zawodzić piskliwym głosem.

– Powiedz jej, niech zamknie gębę – rzucił młodszy do Wasilija.

– Spokój tam – krzyknął Wasilij – tu są funkcjonariusze.

Kobieta natychmiast ucichła. Młody postanowił poradzić sobie z drzwiami za pomocą kopniaków. Zatrzęsła się cała klatka schodowa, drzwi puściły.

Po chwili stali we trzech przy łóżku Rubaszowa, młody z rewolwerem w ręce, stary sztywno wyprostowany, tak jak się stoi przed przełożonym, Wasilij o krok za nimi, oparty o ścianę. Rubaszow ocierał sobie jeszcze pot z czoła i z tyłu głowy i patrzył na nich zaspianym wzrokiem krótkowidza.

– Obywatelu Rubaszow, Mikołaju Salomonowiczu, jesteście aresztowani w imieniu prawa – wyrecytował młodszy z funkcjonariuszy.

Rubaszow zaczął macać wokół siebie ręką, znalazł binokle pod poduszką i lekko się podparł. Teraz, kiedy nałożył binokle, jego oczy nabrały znowu tego samego wyrazu, jaki Wasilij i starsi funkcjonariusze znali z fotografii i oleodruków z czasów rewolucji. Starszy wyprężył się jeszcze bardziej, młodszy, który dorastał już za czasów wodza partii o innym nazwisku, podszedł do łóżka o krok bliżej; wszyscy trzej zrozumieli z wyrazu jego twarzy, że jeszcze chwila, a on, by pokryć swoją niepewność, powie albo zrobi coś brutalnego.

– Nie machajcie mi przed nosem rewolwerem, towarzyszu – powiedział Rubaszow do młodego funkcjonariusza. – Co do mnie macie?

– Słyszycie przecież: aresztujemy was – odparł młody. – Nie róbcie długich ceregieli, ubierajcie się.

– Macie nakaz? – spytał Rubaszow.

Starszy funkcjonariusz wyciągnął z torby papier, podał go Rubaszowowi i znów przyjął służbową postawę.

Ten czytał uważnie.

– No pięknie – rzekł po chwili. – Człowiek nic z tego nie rozbierze. Do diabła z wami.

– Ubierajcie się i to raz dwa – zakomenderował młody.

Rubaszow pojął, że ta grubiańskość nie jest sztuczna, lecz odpowiada jego naturze. „Dorobiliśmy się wspaniałego pokolenia” – pomyślał z goryczą. Przyszły mu na myśl plakaty propagandowe, przedstawiające młodych ludzi zawsze z uśmiechem na ustach. Poczuł wielkie zmęczenie.

– Podajcie mi szlafrok, zamiast machać tym pistoletem – zwrócił się do młodego. Ten zaczerwienił się, lecz nie zareagował. Szlafrok podał mu starszy funkcjonariusz. Rubaszow wsunął ręce w rękawy.

– Tym razem przynajmniej się udało – powiedział, próbując się uśmiechnąć. Nikt z całej trójki nie rozumiał, co Rubaszow miał na myśli, więc milczeli. W milczeniu przyglądali się, jak Rubaszow wstaje powoli z łóżka i zbiera pomiętą garderobę. W całym budynku od czasu piskliwego krzyku kobiety panowała kompletna cisza; miało się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy domu leżą w łóżkach jak trusie i wstrzymują oddech.

Potem dało się słyszeć, jak na którymś z górnych pięter ktoś pociągnął za spluczkę i woda popłynęła w rurach równomiernym szumem.

Na dole przed bramą stało auto, nowy amerykański samochód, którym po niego przyjechali. Było jeszcze ciemno, szofer włączył reflektory, ulica spała albo tylko robiła takie wrażenie. Wsiadli do auta, najpierw młody, potem Rubaszow, potem starszy funkcjonariusz. Szofer, również w mundurze, ruszył. Minęli kilka budynków i skończył się asfalt. Byli jeszcze w centrum miasta, wokół stały wysokie ośmio- i dziewięciopiętrowe nowoczesne domy, ale ulice, pokryte zmarzniętą gliną, wyglądały jak wiejskie drogi dla konnych zaprzęgów. W zagłębieniach ziemi leżała cienka warstewka śniegu. Szofer jechał z prędkością piechura, a świetnie amortyzowany samochód stękał i trzeszczał niczym wóz ciągnięty przez osła.

– Jedź szybciej – warknął młodszy z funkcjonariuszy, nie mogąc znieść panującego milczenia.

Szofer, nie odwracając się, wzruszył ramionami. Kiedy Rubaszow wsiadał do auta, przyglądał mu się obojętnie i nieprzychylnie. Rubaszow miał kiedyś wypadek: mężczyzna siedzący za kierownicą ambulansu też tak wtedy popatrzył. Powolna jazda po wyboistej drodze wymarłymi ulicami miasta, z drżącym krążkiem światła reflektora padającym na jezdnię przed samochodem, była nie do wytrzymania.

– Jak daleko jeszcze? – spytał Rubaszow, nie patrząc na towarzyszących mężczyzn. Mało brakowało, a dodałby: do szpitala i sali operacyjnej.

– Dobrze pół godziny – odparł starszy funkcjonariusz. Rubaszow wygrzebał z kieszeni papierosy, włożył jednego do ust i automatycznie poczęstował pozostałych. Młodszy szorstko odmówił, starszy wziął dwa i dał jednego szoferowi. Szofer odruchowo zasalutował i trzymając jedną ręką kierownicę, podał wszystkim ogień. Rubaszowowi zrobiło się jakoś lekko na sercu, choć jednocześnie był zły na siebie. „Tylko tego brakuje, żebym stał się sentymentalny” – pomyślał. Ale nie mógł się oprzeć, by nie wdać się w pogawędkę i nie roztoczyć wokół siebie nieco ludzkiego ciepła.

– Szkoda wozu – zagaił. – Takie kosztują sporo waluty, a po pół roku jeżdżenia po naszych ulicach tylko diabeł ma z nich pożytek.

– Macie rację. Nasze ulice są jeszcze przestarzałe – przyznał starszy funkcjonariusz. Z tonu, jakim to powiedział, Rubaszow wywnioskował, że mężczyzna dostrzegł jego bezsilność. Poczul się jak pies, któremu na odczesne rzucono kość. Postanowił milczeć. Ale młodszy funkcjonariusz spytał prowokacyjnie:



– A u kapitalistów ulice są może lepsze?

Rubaszow uśmiechnął się ironicznie.

– Byliście kiedyś za granicą? – odpowiedział pytaniem.

– I bez tego wiem, jak to u nich wygląda – odparł młody. – Nie wciśnięcie mi bajek.

– Za kogo właściwie mnie uważacie? – bardzo spokojnie zapytał go Rubaszow. Nie mógł się powstrzymać i dorzucił jeszcze: – powinniście naprawdę zapoznać się nieco z historią naszej partii.

Młody umilkł, patrzył nieruchomo przed siebie. Zapadło milczenie. Szofer po raz trzeci dociskał dławiący się silnik i, rzucając przekleństwa, znowu go zapalał. Jechali przedmieściami, podskakując na wybojach; wygląd stojących w tej okolicy drewnianych baraków biedoty nic się nie zmienił. Nad ich krzywymi sylwetkami wisiał księżyc, błady i jasny.

– 5 –

Na wszystkich korytarzach nowego, wspaniałego więzienia paliły się elektryczne żarówki. Blando oświetlały żelazne galerie, gołe ściany pobielone wapnem, drzwi cel, na których widniały kartki z nazwiskami i czarne otwory judaszów. Mdle, pozbawione refleksów światło i agresywna akustyka kroków na kamiennej posadzce wydała się Rubaszowowi tak dobrze znana, że przez kilka sekund znów miał wrażenie, że to sen. Chętnie dałby sobie wmówić, że tak jest. „Jeśli uda ci się przekonać samego siebie, że śnisz, to naprawdę będzie tylko sen” – pomyślał. Zapragnął tego tak gwałtownie, że niemal zakręciło mu się w głowie; zaraz potem ogarnął go wstyd. „Ten bigos trzeba zjeść z godnością do ostatka, nawet, jeśli przyjdzie udławić się ostatnią łyżką”, stwierdził. Tymczasem stanęli przed celą 404. Nad judaszem wisiała już kartka z jego imieniem i nazwiskiem, Mikołaj Salomonowicz Rubaszow. „Proszę, wszystko pięknie przygotowane” – pomyślał, wstrząśnięty tym widokiem. Chciał jeszcze poprosić dozorcę o dodatkową derkę – miał reumatyzm – lecz drzwi już się za nim zatrzasnęły.

– 6 –

Strażnik w regularnych odstępach czasu podglądał przez judasza celę Rubaszowa. Ale Rubaszow cicho leżał na pryczy, tylko ręka drgała mu lekko